

Od Lwowa do RPA w 80... lat



ADAM WIERZYCKI

Adam Wierzycki
„Od Lwowa do RPA w 80... lat”

Copyright © by Adam Wierzycki, 2021
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca:
Renata Grześkowiak

Redakcja i korekta:
„Dobry Duszek”

Korekta:
Bożena Sigismund
Janusz Sigismund

Projekt graficzny i skład:
„Dobry Duszek”

Projekt okładki:
Ireneusz Bloch

ISBN: 978-83-8119-871-4

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
www.psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Wersja Demonstracyjna

*Dedykuję tę książkę żonie, dzieciom i wnukom,
ale również wszystkim członkom mojej Rodziny,
którzy zostali zmieceni z powierzchni ziemi we Lwowie,
w strasznych czasach szaleństwa i nienawiści.*

*Moim obowiązkiem było udowodnienie,
że ja i moja Rodzina jesteśmy świadectwem
i kontynuacją ich istnienia na tej planecie,
czego im odmówiono, z intencją
wymazania nawet śladu ich egzystencji.*

*Musiałem napisać tę historię dla dania
świadectwa prawdzie i uczczenia ich pamięci.*

POWRACAJĄCA MYŚL

Pewnego pięknego, kwietniowego popołudnia siedziałem na tarasie na wybrzeżu, patrząc na pływających na deskach, kiedy odezwał się sygnał Skype'a. To był Romek z Quito w Ekwadorze. Zwykła rozmowa o zdrowiu, planach i, niestety, o upływie czasu, co przekładało się na jakieś dolegliwości i niedomagania, a czasem jakieś pozowanie, że nie jest tak źle i żąb czasu nas się nie ima. Jednak nieuchronnie zbliżała się nadchodząca, okrągła rocznica urodzin – osiemdziesiątka. Ładna liczba, zaokrąglone cyfry, kryjące za sobą tyle wydarzeń i historię życia na pewno nietoczącego się gładko czy banalnie. Te okrągłości mieściły w sobie wiele kantów, załamań i nierówności. Jakie szczęście, że nie doszło do przerwania ciągłości, mówiąc delikatnie.

Nagle Romek poruszył temat, który nurtował mnie od jakiegoś czasu. Jego partnerka – Paola – która bardzo o niego dbała, będąc przy tym pełną inicjatywy i energii znacznie młodszą od niego kobietą, postanowiła zlecić komuś napisanie książki o jego niezwykłym życiu.

Czy to przypadek? Ja wielokrotnie, kiedy nachodziła mnie natrętna myśl o spisaniu historii swojego życia, zwracałem uwagę na niezwykłą zbieżność naszych losów: pochodzenie, miejsce urodzenia, Lwów, wojna, śmierć bliskich (on stracił rodziców), repatriacja, Gliwice, szkoła, nasza przyjaźń i wreszcie wyjazd na odległe krańce świata. Doszło do tego w tak skomplikowany sposób... To był niezwykle splot wydarzeń. To wszystko w jakiś magnetyczny sposób przyciągało nas i zbliżało do siebie. Wreszcie, po wielu latach od czasów ukończenia szko-

ły, po niekiedy dość zabawnych próbach kontaktu, znowu zaczęliśmy się spotykać, ale wówczas już w świecie, w Ekwadorze i RPA.

Jakiś czas temu odbyliśmy wspaniałą podróż do Peru, a następnie do Meksyku, gdzie wspaniale się bawiliśmy. Wybraliśmy się tam we dwóch, bo Paola już знаła Meksyk, więc postanowiła dać nam trochę wolności. Ta wyprawa była bardzo zabawna ze względu na obsesyjne fotografowanie przez Romka wszystkiego, co się ruszało i nie tylko... Ponieważ nie było Paoli, jako obiekt do fotografowania zostałem mu tylko ja. Dwóch starszych panów, w czerwonych czapczkach, na wspólnej wyprawie i te ciągłe zdjęcia powodowały dziwne spojrzenia ludzi, których spotykaliśmy. Na braci nie wyglądaliśmy, na rodzinę w zasadzie również, więc... Muszę powiedzieć, że czułem na sobie te spojrzenia i jakoś mnie to nie bawiło.

A teraz ta rozmowa i natychmiastowe skojarzenie poprzednich przemyśleń o niezwykle zbiegu naszych losów. Tyle rzeczy zaczęło się bardzo podobnie, a potem potoczyło się diametralnie różnie i kończyło na odległych krańcach świata.

Oświadczyłem, że ja również napiszę historię swojego życia dla dzieci, wnuków, ale i dla siebie, bo mam poczucie, iż będzie to również jakaś forma hołdu i pamięci dla tych, którzy zginęli, aby nie odeszli w zapomnienie.

Wydarzenia naszego dzieciństwa, mimo że ulotniły się w dziecięcej niepamięci, odcisnęły się głęboko na naszej psychice. U Romka była to utrata rodziców i sieroctwo. Wszystko to, co wówczas przeżyliśmy, odegrało ważną rolę w naszym póź-

niejszym postępowaniu, wyborach i stosunku do życia. Może to już trochę filozofii, metafizyki, wiary w Boga... A może przeznaczenie? Myślę, że jednak powodem naszych wyborów okazał się brak wiary w jedno i drugie... Życie pozbawiło mnie złudzeń i wiary w wiele rzeczy, a nauczyło determinacji i liczenia tylko na siebie, i oczywiście na najbliższych.

Nieprzypadkowe jest to, że tylu ludzi uważało i uważa, iż gdyby bogowie istnieli, to nie dopuściliby do okrucieństw i tak tragicznych wydarzeń w historii ludzkości, które zaprzeczają nie tylko prawom ludzkim, ale przede wszystkim temu, o czym mówią religie. Nie aprobuję tłumaczeń o testowaniu nas, próbie, o nagrodzie czekającej gdzieś, kiedyś, bo nie wierzę w życie pozagrobowe. Dlatego ofiary pozostają ofiarami i nie czeka na nie nic. Jaka to próba dla nich, kiedy znikają w nicości, kiedy odbiera im się życie, szczęście, wszystkie możliwości, które były przed nimi? Rozumiem, że religie usiłują wyjaśnić i pogodzić obecność Boga, Jego wszechobecność, nieograniczoną mądrość, dobroć, możliwości, kierowanie naszymi losami. Po prostu nie mogą inaczej... Jednak pogodzenie tego z nauką i realiami życia jest dla mnie niemożliwe.

Może przemawia przeze mnie gorycz i historia mojej rodziny, może utrata jednej religii, której nigdy nie znałem i drugiej, która nigdy nie zakorzeniła się we mnie, ale największą rolę odegrał sceptycyzm, naukowe podstawy i realne stąpanie po ziemi. Nie przekonuje mnie Einstein wierzący, czy inni naukowcy, bo religie i potrzeba bogów, wtedy kiedy czegoś się nie rozumie, lub potrzeba posiadania jeszcze jakiegoś źródła nadziei, kiedy wszystko zawiedzie, nie są dla mnie, chociaż rozumiem wie-

rzących. Wiara jest potrzebna większości ludzi i kto tego potrzebuje, musi to mieć i nie wolno krytykować takiej potrzeby. Ale takie samo prawo przysługuje ateistom, czy ludziom, którym wiara nie jest potrzebna do szczęścia.

Dosyć jednak tej filozofii, mojej własnej zresztą. Wspomniałem o tym, bo to niejako określa mój stosunek do życia i drogę, jaką obrałem. Nie szukając wsparcia w Bogu, postanowiłem wziąć odpowiedzialność za wszystko i nie liczyć na przypadek, a szczególnie na zrządzenie siły wyższej. Wziąłem odpowiedzialność za wszystkie swoje decyzje oraz wybory pomiędzy możliwościami, które się wyłaniały i z godnością ponosiłem ich konsekwencje. Niestety, takie jest życie...

Zatem do rzeczy... Pisanie czegoś w rodzaju historii życia jest trudne. Po pierwsze trzeba pamiętać, po drugie są rzeczy, z których nie jesteśmy dumni, po trzecie jest to rodzaj ekshibicjonizmu, dlatego trzeba mieć specyficzną osobowość, by poradzić sobie z tym zadaniem. Również należy pamiętać o kimś, kto będzie to czytał, aby nie zanudzić go na śmierć. Każde życie zawiera tyle podobnych, banalnych rzeczy i tylko niektóre z wydarzeń, które stały się naszym udziałem, są interesujące, więc wybranie wątków i spraw ciekawych ma olbrzymie znaczenie. Są okresy w życiu niewnoszące nic nowego, nieposuwające nas do przodu i niewarte wspomnienia. Czasami taki stan rzeczy można nawet wytłumaczyć. W moim przypadku siedem pierwszych lat życia pozostaje czarną plamą. Myślę nawet, że nie jest to kwestia pamięci, a rodzaj blokady psychicznej, mechanizmu obronnego, który mieli również moi rodzice. To były straszne lata wojny...

ŻYCIE, KTÓREGO MIAŁO NIE BYĆ

Według wszystkich znaków na niebie i ziemi tego życia miało nie być, miało się zakończyć we Lwowie w 1941 roku albo w Lembergu okupowanym od 30 czerwca 1941 roku przez Niemców. Nie miało ono mieć żadnego dalszego ciągu, a jednak...

Moje życie zaczęło się w 1941 roku w okupowanym przez Rosjan Lwowie, do którego po trzech miesiącach od moich urodzin wkroczyli Niemcy i zaczęła się kolejna okupacja. W tym roku życie mojej rodziny zostało przewrócone do góry nogami, a w jakimś sensie skończyło się. Dotyczy to pojęcia rodziny w szerokim tego słowa znaczeniu: dziadkowie, wujkowie, ciotki, kuzyni, kuzynki. Oczywiście nie miało to znaczenia dla niemowlaka, jednak odcisnęło swoje piętno na moim dalszym życiu, co ujawniło się w przyszłości. Co prawda została mi rodzina w najmniejszym wymiarze, czyli ojciec, matka i ja, a to przecież i tak wiele więcej niż innym, którzy tyle szczęścia nie mieli. Moje życie toczyło się w okupowanym mieście, ze śmiercią wokół i z poczuciem stałego zagrożenia. Warunki były tragiczne: ojciec wylądował w niemieckim obozie jenieckim, a matka starała się uratować siebie i mnie, szyjąc niemieckie mundury wojskowe. Na szczęście ta profesja niejako dawała jej prawo do życia, chociaż niemowlaka musiała ukrywać pod stosami mundurów. Wtedy zapewne nauczyłem się nie płakać, a równocześnie na wiele lat moją matką stała się Ukrainka, Cecylia Lysyk, gdyż takie lewe papiery zdobyła mama. Te szwindle, które były konieczne, by przeżyć, oczywiście pociągały za sobą całą lawinę tworzenia nowej fikcyjnej tożsa-

mości i przez lata tworzyły się stosy lewych papierów. Dopiero po wielu latach tak naprawdę odzyskałem matkę oraz jej prawdziwe imię i nazwisko panińskie. Był to koszmar trudny do wyobrażenia, ale chodziło przecież o jedno – o przeżycie. To, że tak się stało, iż mogę teraz spisywać wspomnienia swojego życia, to prawdziwy cud, dlatego napisałem: „Życie, którego miało nie być”. My nie mieliśmy prawa przeżyć tego koszmaru... Zostaliśmy skazani na unicestwienie przez kaprała z wąsikiem w Berlinie.

Jakieś strzępy informacji uzyskane od rodziców, którzy nigdy nie chcieli o tym rozmawiać, to wszystko, co wiem. Mieli rodzaj blokady psychicznej, o której wspomniałem wcześniej. Myślę, że to pozorne zapomnienie było niezbędne dla zachowania zdrowia psychicznego. Napisałem o zapomnieniu pozornym, bo nie sądzę, by można było tak naprawdę wymazać z pamięci te straszne chwile i wspomnienia o tragedii, która dotknęła ich najbliższych.

Mama zaczęła wspominać te czasy w rozmowach z wnukami po siedemdziesięciu latach, uważając zapewne, że nadszedł czas, by przywrócić ludzkie twarze i formę istnienia, choćby w pamięci, ludziom, którzy zostali zmieceni z powierzchni ziemi, własnym rodzicom i rodzeństwu.

Wówczas to ujawniła się część historii majątniej, mieszczańskiej spolszczonej rodziny pochodzenia żydowskiego, z kamienicami we Lwowie, z główną siedzibą w wielkiej kamienicy na ul. Pańskiej, gdzie się urodziłem. Do naszej rodziny należała piękna willa w Jaremczu nad Prutem, gdzie jeździło się na rodzinne wakacje. Była to willa Wanda, gdzie w wielkiej sali odbywały się przedstawienia teatralne. Dziadek mamy był wła-

ścicielem stadniny koni w Janowie i dostawcą koni dla armii austriackiej, zatem jeździło się powozami, a także odwiedzało uzdrowiska. Mama chodziła do gimnazjum sióstr Strzałkowskich dla dobrze urodzonych panienek, uczyła się francuskiego i gdyby nie wojna, poszłaby na studia.

Podobno wojnę przeżyły również dwie ciotki, które opuściły rodzinne strony, zanim nastał ten trudny czas. Jedna z nich wyjechała do Austrii, a potem do Ameryki. Natomiast druga, bardzo piękna, i podobno równie zwariowana, uciekła z oficerem austriackim, a w końcu wyszła za mąż za francuskiego arystokratę i producenta broni w Paryżu... Był jeszcze wujek, który studiował wytrwale prawo, ale wołał bale i piękne kobiety. Za karę wyłądował jako jeden z pierwszych obozowiczów w Oświęcimiu, ale przeżył i został sędzią sądu apelacyjnego w Krakowie. Ostatecznie stworzył największą praktykę adwokacką w Paryżu, prowadząc sprawy odszkodowań niemieckich dla więźniów obozów koncentracyjnych. Odegrał on potem ważną rolę w moim życiu jako jedyny dalszy członek naszej rodziny i jeden z nielicznych, którzy wbrew wszystkiemu przeżyli pobyt w obozie.

W każdym razie wtedy gdy mama otworzyła się przez moimi córkami, powstał mglisty obraz rodziny, która została zmieciona z powierzchni ziemi przez zbrodnicze, szalone wizje Hitlera i jego zwolenników. Oczywiście moi krewni byli małym pyłkiem w tym światowym kataklizmie, który zmiotł z powierzchni ziemi miliony istnień ludzkich i był największą humanitarną tragedią w historii ludzkości. Ale te pyłki, to byli przecież nasi dziadkowie, babcie, wujkowie, rodzice i rodzeń-

stwo moich rodziców. Zniknęła bezpowrotnie przeszłość, historia dzieciństwa i młodości, została tylko rzeczywistość i pamięć, do której starali się nie wracać, aby móc jakoś żyć.

Wyobrażam sobie, jakie to trudne blokować wspomnienia, aby żyć tylko teraźniejszością i przyszłością. Przecież człowiek stale nawiązuje do przeszłości, doświadczeń i wspomnień ludzi i wydarzeń. W tym przypadku należało zapomnieć o tym, co było, aby widzieć sens istnienia i działania. Mama potrzebowała siedemdziesięciu lat, żeby móc opowiedzieć o przeszłości.

Z relacji moich córek wynika, że te opowieści były fascynujące. Dotyczyły już nie tylko Lwowa, ale okresu okupacji i życia w Darnicy, w wiosce obok Kijowa, gdzie w obozie jenieckim prowadzonym przez Niemców był więziony mój ojciec.

Mama, po cudownym ocaleniu poprzez ucieczkę ze Lwowa, gdzie zginęlibyśmy niechybnie jak reszta naszej rodziny, zamieszkała ze mną między Rosjanami w tzw. ziemliance. Ojciec, jako lekarz biegle mówiący po niemiecku i rosyjsku, okazał się przydatny niemieckiemu lekarzowi obozowemu podczas szalejącej epidemii tyfusu plamistego. Dzięki swojej pozycji udało mu się przekonać niemieckiego lekarza do wyjazdu do Lwowa po leki. Dostał jakąś przepustkę i pseudomundur, aby transportem wojskowym, bo tylko takie wówczas mogły się przemieszczać, pojechać po leki do Lwowa. Dzięki temu udało mu się zabrać mamę do Darnicy. Mnie oddano na przechowanie do ukraińskiej rodziny. Po trzech miesiącach zawszonego, ale żywego odebrał mnie ojciec, któremu udało się jeszcze raz przyjechać do Lwowa. To był właściwie cud, że udało mu się wyciągnąć nas ze Lwowa. Mama opowiadała o tej strasznej po-

droży pociągiem wojskowym ojca z niemowlakiem. W ogóle go przecież wtedy nie znałem, płakałem bez przerwy i na dodatek dostałem biegunkę, a przecież wówczas nie było pampersów. Ojciec w ogóle nie potrafił się obchodzić z niemowlakiem, a na domiar złego zewsząd otoczony był przez Niemców. Jakoś przetrwał tę podróż, ale kosztowało go to tyle stresu, że po przyjeździe sprzął mnie tak, iż przez rok, kiedy przychodził z obozu na przepustkę, ja, słysząc jego kroki, chowałem się pod stołem i siedziałem tam cały dzień.

Mama wspominała również czasy, kiedy ofensywa rosyjska zmusiła Niemców do wycofania się i miała nastąpić likwidacja obozu, która w rzeczywistości miała być również likwidacją więźniów. Niemiecki lekarz był na tyle lojalny wobec ojca, że uprzedził go o tych planach, aby ratował się ucieczką. Nie było to proste. Mama czekała na niego za drutami z odzieżą kobiecą. Kiedy się przebrał i głowę opatulił w chustę, wyruszyli. Po drodze zatrzymał ich niemiecki patrol, który miotaczami ognia palił ziemianki koło obozu. Na pytanie, kim jest podróżująca z nią kobieta, mama odpowiedziała, że to siostra z infekcją zęba. Na ile to brzmiało wiarygodnie w tym odrealnionym świecie, w którym granica między życiem i śmiercią była wąską linią, nie wiem, ale z pewnością pomogło to, że mama zdjęła z palca pierścionek i dała Niemcowi jako podarunek dla narzeczonej. Kiedy już odchodzili, zdrętwiała, gdy Niemiec zawołał ją jeszcze raz. Nie mogła uwierzyć swojemu szczęściu, bo mężczyzna zwrócił jej pierścionek, mówiąc, że mu się nie przyda, bo nie wie nawet czy przeżyje. Poprosił jednak o podarowanie apaszki, którą miała na szyi. I tak się udało... Później ojciec i inni mężczyźni

ukrywali się w wykopach pod ziemiankami, które Niemcy doszczętnie spalili. Pozostawili tylko zgłiszcza i gołą ziemię zbrukaną krwią tych, którym nie udało się przeżyć tego piekła.

Po tych wydarzeniach nastąpiła władza radziecka... Były to czasy niezwykle trudne, ale nie było już bezpośredniego zagrożenia życia, szczególnie, że brakowało lekarzy, a to stawiało mego ojca na wygranej pozycji. Został dyrektorem Polikliniki w Darnicy (obecnie willowa dzielnica Kijowa). Później, starając się przenieść bliżej Lwowa, udało mu się dostać do polikliniki w Gródku Jagiellońskim. Niestety, przydatność ojca jako lekarza, przy brakach w kadrze, stała się olbrzymią przeszkodą w staraniach repatriacyjnych. Tylko determinacja mamy, której udało się dotrzeć do gubernatora Ukrainy, Nikity Chruszczowa (zwanego rzeźnikiem Ukrainy) i jego zgoda pozwoliły nam wyjechać jednym z ostatnich transportów repatriacyjnych w listopadzie 1947 roku. Do tej pory nie wiem, jak udało jej się skłonić tego człowieka do wydania tej zgody...

Wyruszyliśmy zatem wagonami bydlęcymi, śpiąc na podłodze i na walizkach, pragnąc opuścić Związek Radziecki, zamykając za sobą tragiczny dla naszej rodziny okres wojenny, do którego rodzice nigdy już nie chcieli wracać, nawet wspomnieniami. Zamknęli za sobą ten okres i powtarzam, że była to blokada słowna, pamięciowa i z pewnością konieczna dla zachowania zdrowia psychicznego. To także spowodowało, że dla mnie ten okres stał się czarną dziurą, w której zostało moje dzieciństwo. Moje wspomnienia zaczynają się od siódmego roku życia. Wylądowaliśmy wówczas w Gliwicach, gdzie wysiedliśmy zupełnie przypadkowo z transportu repatriacyjnego, nie znając nikogo w Polsce...

GLIWICE – MOJE PIERWSZE WSPOMNIENIA DZIECIĘCYCH LAT

No właśnie... Przypadkiem wysiedliśmy w Gliwicach. Pociągi ze Lwowa szły wtedy do Gliwic i Wrocławia. To w Gliwicach osiedliło się wielu repatriantów związanych z Politechniką Lwowską. Tak jak we Wrocławiu wylądowało wielu z Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza.

Zabawne, że ojciec wysiadł w Gliwicach, chociaż był ostatnim rocznikiem tegoż wydziału lekarskiego i kiedy po pięćdziesięciu latach Wrocławska Akademia Medyczna przygotowała wzruszającą uroczystość odnowienia dyplomów 1939 rocznika lwowskiego, był jednym z dziesięciu, którzy w togach i biretach zostali uhonorowani przez uczelniany senat i młodszych kolegów... To była naprawdę wzruszająca uroczystość, mająca tyle symbolizmu i nawiązania do historii Polski i znaczenia w niej Lwowa. Tego nie jest w stanie zatrzeć żadna propaganda i upływ czasu. Lwów był wspaniałą metropolią wielonarodową. To miasto wieloreligijne, wielokulturowe, które stało się tygłem wszystkiego, co było najlepsze w Królestwie Polskim, Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a faktycznie Rzeczypospolitej Wielu Narodów...

Nacjonalizmy są tragiczne dla wszystkich, z wyjątkiem aspektu patriotycznego. A jakże często, niestety, idzie to w tym złym kierunku. Historia pokazała to tyle razy. Piszę te słowa w RPA, kraju doświadczonym historią apartheidu. W czasie lockdownu, w związku z koronawirusem, godzinę temu wysłuchałem wspańskiej piosenki „Good Job”, a śpiewała ją laureatka GRAMMYs, Alicia Keys. Jest to forma podziękowania i wyrazy szacunku,

a właściwie przypomnienie o potrzebie docenienia i szacunku dla milionów bezimiennych, niedowartościowanych ludzi, w większości o innym odcieniu skóry niż białe, którzy w tych strasznych czasach pandemii są niezbędni dla utrzymania reszty przy życiu. To oni chodzą do pracy, ryzykując także życie. To są kierowcy, listonosze, sprzedawcy, pracownicy farm, śmieciarze, nie wspominam wszystkich lepiej znanych niezbędnych zawodów. Mówię o tych milionach niewidzialnych, których się nie szanuje. Udaje się, że ich nie ma, że nie są ważni, a oni są niezbędni dla naszej egzystencji. To widać teraz, kiedy w najbogatszym kraju w historii ludzkości ustawiają się kilometrowe kolejki głodnych ludzi w samochodach oczekujących na darmową żywność. Nie byłoby pożywienia, gdyby ktoś tego nie zebrał, nie wykopał, nie dostarczył. Ta wspaniała, wzruszająca pieśń przypomina nam o tym, ale warto zachować tę pamięć również wtedy, gdy epidemia minie. Ci ludzie tam będą pracowali dalej, tak samo niezbędni dla społeczeństwa i zasługując na szacunek tych bardziej uprzywilejowanych, którzy z ich pracy korzystają.

Pisanie historii z perspektywy upływu lat ma swoje plusy, ponieważ historia lubi się powtarzać, co widoczne jest właśnie dopiero po wielu latach. Nawet obserwowanie wielu aktualnych wydarzeń nasuwa pewne wnioski. Jeśli tylko wyteżymy odrobinę nasz umysł, to zauważymy, że pewne sytuacje się powtarzają, tylko my często zapominamy o nich i nie korzystamy z tych lekcji dawanych nam przez życie.

Wrócimy jednak do opowieści o czasach, gdy wraz z rodzicami wyładowałem w Gliwicach. Tę chwilę, gdy wysiedliśmy z pociągu potrafię już odszukać we własnych wspo-

mnieniach. Pamiętam, jak szliśmy od dworca główną ulicą, spoglądałem na rynek, idąc z dwoma walizkami, w tym jedną drewnianą. Nagle uwagę ojca zwróciła tabliczka lekarska umieszczona na ścianie narożnej kamienicy. Przeczytał nazwisko lekarza i ze zdumieniem stwierdził, że we Lwowie miał na roku kolegę o tym samym imieniu i nazwisku. Czy to nie był nieprawdopodobny przypadek? Okazało się, że to kolega ojca ze Lwowa, który po udziale w powstaniu warszawskim wyładował właśnie w Gliwicach. Znalazł się tam dużo wcześniej i zajmował się organizacją szpitala i służby zdrowia w opuszczonym przez Niemców mieście. To był jedyny znajomy, którego mieliśmy w Gliwicach i właśnie nieprawdopodobny zbieg okoliczności spowodował, że znaleźliśmy go po piętnastu minutach bytności w tym mieście. Oczywiście wspomniany kolega pomógł ojcu. Dzięki niemu dostaliśmy pokój na ul. Grodowej. Co prawda było to straszne miejsce, a na tamtą chwilę miało to dla nas ogromne znaczenie i tak naprawdę nas uratowało. Ojciec podjął pracę i mieliśmy już w miarę normalne warunki. W tym mieszkaniu przy głównej ulicy w Gliwicach rodzice przeżyli większość swojego życia.

Zaczął się jednak od nieprawdopodobnego przypadku, więc jak tu nie wierzyć, że życie składa się z przypadkowego zbiegu okoliczności, wydarzeń, sytuacji i nieustających naszych wyborów, a zatem jest nieprzewidywalne. Z tego należy czerpać wiarę, ale nie w Boga, tylko w to, że wszystko jest możliwe i od nas zależy, jakich wyborów dokonujemy. To optymistyczne i pesymistyczne równocześnie, ale nie można się uchylać od odpowiedzialności. To my kierujemy swoimi losami, nie Opatrzność.

To właśnie w Gliwicach rozpocząłem swoją edukację. Chodziłem tam do szkoły podstawowej, a następnie do liceum, które znajdowało się w tym samym budynku przy ul. Zimnej Wody, nad Kłodnicą. Codziennie pokonywałem tę samą drogę z ul. Zwycięstwa. Skręcałem w lewo, w Kłodnicką, i zmierzałem do szkoły. Na rogu z ul. ks. Marcina Strzody przypinałem tarczę na ramieniu, bo był obowiązek chodzenia z tarczą. Na szczęście mogły być na zatrzaskach, dlatego nie musiałem jej nosić cały czas. Zakładałem wówczas również czapkę. Nie było mundurków, więc to nas odróżniało od uczniów innych szkół.

To były czasy rodzenia się PRL-u, stalinizmu w Związku Radzieckim i umacniania się go w Polsce. Wizja tego z perspektywy dziecka jest oczywiście inna niż z perspektywy dorosłych. Myślę, że spojrzenie dorosłych zza Buga, bo właśnie tak nazywano nas ze Lwowa, było inne niż rdzennych Polaków. Po pierwsze po strasznej wojnie, przeżyciu dwóch okupacji, rosyjskiej i niemieckiej, ponownym wkroczeniu Rosjan wyzwających tereny z niemieckiego terroru, nastąpiło pewne spłycenie niechęci do Rosjan. Tereny Ukrainy, które zamieszkiwała ludność mieszaną, to oni bardziej wyzwali, niż tereny Polski, które bardziej okupowali, pośrednio czy bezpośrednio. W końcu na Ukrainie nie było polskiego podziemia i nie powstał polski rząd czy władze. Stąd myślę, że rodzice niezaangażowani w politykę i po strasznych przeżyciach wojennych cieszyli się pracą, życiem i możliwością utrzymania rodziny. Przede wszystkim dość długo uważali, że wojna jest nieunikniona. Dlatego ojciec nigdy nie pozbył się obsesji bycia w gotowości. Oznaczało to niekupowanie nieruchomości, bo wszystko stracił we Lwowie. Wszyst-

kie oszczędności inwestował w złote monety, bo wiedział, że tylko to można ze sobą zabrać i łatwo spieniężyć. Ta obsesja kosztowała mnie także lata nauki gry na akordeonie, czemu się opierałem, nie ćwicząc, ale talentu także we mnie nie było. Powodem tego pędu do zgłębiania przeze mnie tajników gry na akordeonie u mojego ojca było przeświadczenie, że muzycy w armii nie idą w pierwszej linii frontu i są hołubieni. Tak przygotowywał mnie na wypadek wojny.

Wiemy z historii, jak straszne były to czasy terroru, bezpieki, ludzie ginęli, znikali i wiele rodzin zapłaciło straszną cenę za opieranie się przejściu władzy w Polsce przez narzucony system. Niestety, była to walka skazana na niepowodzenie. Zachód zawarł układ ze Stalinem, podzielili się wpływami i Polska została sama. Późniejsza historia pokazała, że rosyjska dyplomacja i liderzy Rosji, rozgrywali polityków i liderów tzw. wolnego świata wielokrotnie. Ich przewagą zawsze była brutalność, zdecydowanie, jednowładza, brak demokracji, gotowość do poniesienia strat w ludziach. Niestety, siła i gotowość jej użycia ma zawsze przewagę w starciu z przeciwnikiem myślącym, ostrożnym, liczącym straty i ofiary. Zaczynając od Stalina, przez Chruszczowa i wielu innych, a kończąc na Putinie, tzw. Zachód poniósł wiele porażek.

W tamtych latach sporo ludzi wyjechało na Zachód. Odnaleziony, również przypadkowo, daleki kuzyn, mieszkający w Nowym Jorku, zaskoczony faktem, że udało nam się uratować od zagłady, za wszelką cenę postanowił wyciągnąć nas z Europy. Należało wtedy wpłacić w Stanach kaucję 5000 dolarów i można było wyjechać z Polski. Kiedy mieliśmy wszystko zała-

twione, ojciec zaparł się i powiedział mamie, że jeżeli zmusi go do wyjazdu z Polski to on umrze. Cała akcja z wyjazdem została wstrzymana, bo mama nie chciała zmuszać ojca, więc zostaliśmy. To była pierwsza okazja do emigracji, ale nie ostatnia. Po latach byłem trochę zdeterminowany i stwierdziłem, że to koniec i albo teraz, albo nigdy.

Życie w Polsce po wojnie, która zdziesiątkowała społeczeństwo, zostawiła miasta w ruinie i zgliszcza wszystkiego co materialne, ale i psychiczne czy duchowe, było niezwykle trudne pod każdym względem. Patrząc z perspektywy czasu, z perspektywy dziecka wspominającego życie dorosłych, nie mogę się zgodzić z wieloma opiniami ludzi, którzy urodzili się np. czterdzieści lat później. Nie da się wszystkiego znaleźć w książkach, a nawet w opowieściach ludzi, których przekaz zależy przecież od osobistych doświadczeń. Oczywiście mój opis będzie również obciążony subiektywizmem, czy prywatnymi doświadczeniami, ale ja to przeżyłem, widziałem i doświadczyłem tego na własnej skórze.

Jak wspominałem, doświadczenia ludzi zaangażowanych politycznie przed wojną, podczas wojny i po jej zakończeniu prześladowanych przez formującą się komunistyczną władzę, będą inne i czasem przerażające. Większość z nich nauczyła się jednak żyć w otaczającej rzeczywistości, współtworząc tę rzeczywistość i przyszłość swoich rodzin. Otrząsnęli się z koszmaru wojny, cieszyli się tym, że udało im się przeżyć. Na pewno część z nich uległa propagandzie sukcesów, odbudowy kraju, wyrównywania nierówności z przeszłości i rodzaju sprawiedliwości społecznej.

Dla społeczeństwa startującego od zera to, że ma się równe szanse, było niezwykle pociągające i atrakcyjne. Do inteligent-

cji i dawnych posiadaczy ziemskich nowa władza miała inny stosunek. Jednak dla wiodących w tamtym czasie warstw społecznych, czyli dla klasy robotniczej i pracującego chłopstwa, to, co proponowano, było atrakcyjne i sprawiedliwe. Nawet część dawnych elit godziła się z nowym porządkiem, uważając, że w ten sposób spłacają pewien dług i również wyrównują szanse dla tych pochodzących z niższych warstw społecznych, mających w przeszłości znacznie mniejsze szanse na awans społeczny. Te dodatkowe punkty za pochodzenie w staraniach o przyjęcie na uczelnię, czy promowanie, a nawet faworyzowanie robotników i chłopów, kosztem tzw. inteligencji pracującej było faktem. Jednak w miarę upływu czasu tego typu zachowania zaczęły powoli zanikać, bowiem w końcu wyniki pracy i nauki korygowały, choćby częściowo, te pierwotne niesprawiedliwości. Owe metody, później nazywane inżynierią społeczną i praktykowane przez wiele krajów znacznie później, bez udziału komunistów, również nie dawały oczekiwanych wyników. Patrząc na to z perspektywy lat i kilku krajów, w których mieszkalem, stwierdzam, że komuniści nie byli osamotnieni w promowaniu tych idei i trudno tylko ich obciążać konsekwencjami tego działania. Na przestrzeni wieków w niektórych krajach próbowano korygować nierówności i niesprawiedliwości społeczne tymi samymi metodami. W Stanach Zjednoczonych były to lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte i później, w Afryce Południowej po 1994 roku i muszę powiedzieć, że działało to tylko częściowo, bowiem tworzyły się różne patologie, jak np. w RPA tzw. odwrótny apartheid. Powodowało to masową emigrację młodych, białych ludzi, absolwentów wyż-

szych uczelni, którzy nie mieli szansy zatrudnienia. Zatrudniano bowiem gorzej wykształconych tylko dlatego, że mieli inny kolor czy odcień skóry. Skoro nie zatrudniano kogoś tylko dlatego, że był biały, to również mamy tu do czynienia z dyskryminacją i nadużyciem. Jakby tego było mało, narzucano limity na prywatne kompanie w zatrudnieniu, zmuszając tym samym do zatrudnienia ludzi o innym kolorze skóry niż biali. Usiłowano wpływać na zatrudnianie osób z innym odcieniem skóry niż biali na wyższe stanowiska nawet pomimo gorszych kwalifikacji. Taka polityka doprowadziła do wielkich strat, obniżenia poziomu edukacji i emigracji tysięcy utalentowanych, potrzebnych ekonomii kraju ludzi. W przypadku Polski nie miało to takiego znaczenia i wpływu, a nawet w miarę upływu lat straciło na znaczeniu zupełnie. Koniecznie należy odgraniczyć lata przed śmiercią Stalina i następne, kiedy presja, czy rodzaj terroru zelżały. Dojście do władzy Chruszczowa, a w Polsce Gomułki, czy czas po tzw. rewolucji węgierskiej, zwiastowały mniejszą indoktrynację i rozluźnienie uścisku Wielkiego Brata. Stało się to na jakiś czas widoczne w postaci mniejszego wpływu polityki na życie przeciętnego człowieka. Lata 1956–1970 różniły się znacząco od poprzedniego okresu. Również okres, który nastąpił po upadku Gomułki, poprzedzony wydarzeniami marcowymi i dojściem do władzy Gierka, czy tzw. Francuzów (nazywanych tak ze względu na pracę w kopalniach francuskich przed powrotem do Polski) był inny. To byli inni ludzie, bo widzieli trochę Zachodu. Byli młodszy. Następowwała ewolucja systemu w Rosji i krajach satelitarnych, rosła świadomość społeczeństw i nie dawało się już utrzymać dopływu informacji z Zachodu.

Dlatego nie można oceniać PRL-u jednoznacznie, gdyż miał on różne okresy i zmieniał się, a właściwie ulegał stopniowemu rozkładowi, chociaż, jak często bywa, stan wojenny stał się kulminacją i ostatnią próbą przetrwania.

Moją intencją nie jest analiza polityczna i nie mam ku temu również kwalifikacji, ale życie mojej rodziny znacząco zmieniał się w tych okresach, a różnice między nimi były wręcz epokowe.

Pamiętam, w jaki sposób rodzice i ich znajomi żyli w latach pięćdziesiątych. Pomimo panującego terroru i walki politycznej większość społeczeństwa nie mogła nacieszyć się życiem i faktem ocalenia z horroru II wojny światowej. Ludzie budowali, otrzymywali mieszkania, urządzali je i każdy nowy nabytek, taki jak: mebel, lodówka, pralka (nawet „Frania”) były nie lada wyczynem na miarę ludzi sukcesu. Po tych tragicznych latach wojny ludzie stali się serdeczni, wielkoduszni, przyjaźni, łączyły ich podobne trudności i radości. Kwitły spotkania towarzyskie, imprezy, dancingi, doroczne bale lekarzy, prawników, inżynierów i techników. Obecnie brzmi to dość zabawnie, ale tym, którzy pamiętają tamte czasy, z pewnością zakręci się łezka w oku na te wspomnienia. Ludzie dostosowali się do warunków i byli szczęśliwi. Piszę o tym dlatego, że obecnie neguje się jakby tę stronę życia w PRL-u i robią to ludzie niemający zielonego pojęcia o tamtych czasach. Natura ludzka jest przewrotna, ludzie adaptują się do warunków i chwala im za to. Taki stan rzeczy jest potwierdzeniem na to, że jednak jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.



W Gliwiczach z rodzicami (1948 rok)



W przedszkolu – krakowiaka czas zacząć...



I Komunia Święta trzech muszkieterów (ja, Maciek T. i Jasio S.)



Odnawienie dyplomu taty na 50. rocznicę ukończenia
medycyny przez ostatni rocznik na Uniwersytecie
Jana Kazimierza we Lwowie – uroczystość
w Akademii Medycznej we Wrocławiu
(dyplom wręcza rektor; obok prof. Ciubra)



Moja I Komunia Święta

PODRÓŻE MAŁE I DUŻE

W każdym razie wiedzieliśmy, że na Zachodzie jest lepiej, inaczej, i niekoniecznie jest to zgnilizna imperialistyczna, ale żeby mieć szansę tam się dostać, trzeba było odstać w kolejkach do biura paszportowego, gdzie interesantów traktowano per noga. Kolejka na dworze ustawiała się od godzin nocnych, a drzwi przybytku otwierały się o 8:00. Wówczas można było pobrać wniosek, wypełnić go i złożyć, a potem trzeba było czekać na odpowiedź. Wszystko zależało od szefa biura, funkcjonariusza Byczka. Niech mu ziemia lekka będzie... Nigdy ani ja, ani nikt z mojej rodziny nie dostał odmowy, a wielokrotnie jeździliśmy na Zachód, właściwie corocznie. Najpierw za kierunek naszych wyjazdów obraliśmy Węgry, z tzw. wkładką paszportową, na kempingowanie nad Balatonem lub w Budapeszcie. Potem zaczęliśmy wyjeżdżać do Jugosławii, która właściwie była taką namiastką Zachodu, ale stamtąd można było łatwo uciec do Włoch, więc w zasadzie wybór takiego kierunku i otrzymanie w biurze paszportowym wkładki, będącej pozwoleniem na taki wyjazd, świadczyło o większym zaufaniu.

Jeszcze na studiach, w 1964 roku, wyjechałem na dziesięciodniową wycieczkę do Francji, zorganizowaną dla aktywnych członków ZSP (Zrzeszenie Studentów Polskich). Zwiedziliśmy Paryż i okolice. To było przeżycie... Ze strony francuskiej mieliśmy zapewnione wszystko, co było niezbędne: dach nad głową i wyżywienie, a poza tym dostaliśmy 8 dolarów kieszonkowego. Dodatkowe pieniądze należało sobie zorganizować, czego dowiedziałem się od lepiej obeznanych

w tym temacie kolegów. Należało zabrać ze sobą coś na sprzedaż. Według zdobytych przeze mnie informacji najlepiej schodziły bursztyny oraz specjalistyczne serie znaczków, dlatego za pożyczone pieniądze kupiłem kilkanaście serii znaczków i piękny sznur koralu bursztynowych w DESIE. Kiedy tak przygotowany zjawiłem się w Warszawie, w Radzie Naczelnej ZSP, i spotkałem innych uczestników planowanej wycieczki, okazało się, że nie słyszeli o znaczkach i bursztynach, ale twierdzili, że idą: wódka, kryształy i aparaty fotograficzne. W związku z tym poszliśmy grupą na Nowy Świat i kupiliśmy po litrze wódki, po Zorze i Zenicie (czyli rosyjskie aparaty fotograficzne) oraz każdy z nas dokonał zakupu kryształowego wazonika. Pełni optymizmu i nadziei stawiliśmy się następnego dnia na lotnisku. Ja udałem się na lotnisko wcześniej, spałem u kuzynki w Warszawie, ponieważ musiałem się przygotować do odprawy celnej z tymi znaczkami. Moja kuzynka wpadła na pomysł, który okazał się finalnie niezbyt dobry, ale tego nie przewidziałem. Zaproponowała, że bym włożył znaczki do plastikowej torebki i przylepił je plastrem na plecach. Tak uczyniłem i szczęśliwie odprawiłem się z kolegami do Paryża. Po przylocie zawieziono nas do hotelu przy Rue de l'Odéon. Zaraz po przyjeździe zjawili się chętni do kupienia wódki i kryształów. Wszystkie wazoniki poszły jako komplet i po trzydziestu minutach byliśmy bez wódki i kryształów. Z pozostałym dobytkiem zostałem sam. Co prawda poszła informacja, że jeden z naszych sprzedał Zorkę, ale mi się nie udało. Moje znaczki okazały się wielkim niewypałem, ponieważ, kiedy odlepiłem pakiecik z pleców, w pla-

stikowym woreczku miałem już tylko jeden wielki znaczek, gdyż wszystko się zlepilo pod wpływem temperatury ciała.

Nasz pobyt w Paryżu został wspaniale zorganizowany przez bratnią organizację studentów. Otrzymaliśmy vouchery na obiady w stołówce Sorbony, śniadania natomiast spożywalismy w hotelu, a każdego wieczoru organizowano imprezy, w czasie których podawano kolację. Śniadania były standardowe: kawa, mleko, bagietki, croissanty, masło, dżem. W każdym razie właściciele hotelu podziwiali (myślę jednak, że bez zachwyty) nasze apetyty, które miały swoje uzasadnienie. Okazało się bowiem, że, kiedy po porannej, programowej wycieczce podrzucano nas codziennie do stołówki Sorbony na obiad, natychmiast odkryliśmy, iż przy wejściu stoją studenci odkupujący vouchery na obiady. Większość z nas nie oparła się pokusie zamiany voucherów na mamonę i już drugiego dnia przyjazd na obiad stał się bezcelowy, gdyż po opuszczeniu autobusu kręciliśmy się w okolicy stołówki, czekając na transport. Z tego powodu ciężar wyżywienia został przerzucony na hotelowe śniadania, gdzie jedliśmy na zapas. Nigdy w życiu nie wypilem takich ilości mleka truskawkowego i nie zjadłem tylu bagietek (które zjadaliśmy do ostatniej sztuki) na śniadanie. Pokazano nam Paryż i jego atrakcje z dużą starannością. Wielokrotnie potem byłem w Paryżu, a nawet w 1968 roku przez sześć tygodni, ale tylko przypominałem sobie lub spędzałem więcej czasu w miejscach, które znałem z tej wycieczki: Luwr, wieża Eiffła, Wersal, katedra Notre Dame, Montmartre, bazylika Sacré Coeur, muzeum impresjonizmu. Nasze oczekiwania przerosło zabra-

nie nas jednego wieczoru na pokaz w ekskluzywnym Lido, gdzie każdy wykrobał kilka franków na kieliszeczek szampa (choćby nawet z voucherów jedzeniowych). Zabrano nas również na pokaz w Moulin Rouge ze wspianym kankanem, czy na niezwykle wieczór w kawiarni artystycznej z występami piosenkarzy. Atmosfera tego miejsca zauroczyła nas. Zawsze potem, kiedy widziałem czy słyszałem Aznavoura, Brela i Dalidę, przenosiło mnie to do tego wspomnienia. To było coś niezwykłego i jedyne w swoim rodzaju.

Oprócz tego programu mieliśmy również swój własny. Kiedy zawożono nas po wieczornej imprezie do hotelu, grupą składającą się z czterech lub pięciu osób wychodziliśmy w miasto i wędrowaliśmy, odwiedzając czasami miejsca zwiedzane za dnia. Chłoniliśmy Paryż bez ograniczeń, potrafiliśmy wędrować całymi nocami i wracać do hotelu nad ranem. Wylądowaliśmy w halach na zakupie cebulowej po nocnej wędrówce o godzinie 5:00 nad ranem. To była chyba najlepiej zorganizowana i wykorzystana przeze mnie wycieczka w życiu. Nasz głód poznania Paryża, wykorzystania okazji jego poznania był nieograniczony.

Byliśmy młodzi, nie brakowało nam sił. Większość trasy pokonaliśmy na nogach z opróżnioną plastikową butelką, żeby napełniać ją wodą, bo drinki w kafejkach były drogie. Zjadaliśmy przecież tylko śniadanie w hotelu, a za wieczorny posiłek najczęściej mieliśmy owoce, które kupowaliśmy... Straciłem wówczas 5 kg w ciągu 10 dni.

Ekonomiczna strona tej wycieczki to historia sama w sobie. Moje plany biznesowe (bo przecież w założeniu był za-

Koniec Wersji Demonstracyjnej